

Ostatni Siergiej — purpur

Od autora: Pewien pan, dodam, że nosi on imię Siergiej, ma pewną tajemnicę. Do tego, on sam nie wie, że ją posiada... W tle da się dostrzec pewną skrzywdzoną owieczkę, duet małomównych bimbrowników, no i jest Sadin. A przecież wiecie, że jeśli by odwiedził go sam szatan, to przed wejściem wytarłby kopyta i zapukał... Czy muszę mówić coś jeszcze?

Opowiadanie umieściłem w częściach, co chyba było błędem... Teraz powróciłem do oryginalnej (tak wiem :) okrutnie długiej wersji.

— Spaliłem świat... — wyszeptał Siergiej wpatrzony w małe okno swojego betonowego schronu. Okienko było umiejscowione wysoko, tak że musiał podstawić krzesło i stanąć na palcach, aby móc zerknąć na zewnętrzny świat. A on czekał.

Siergiej spojrzął na zegarek, pobieżnie policzył czas, jaki był wymagany, aby rakiety balistyczne zostały dostrzeżone przez wrogie mocarstwo, następnie dodał kilka minut na reakcję, nerwowe krzyki, wycieranie plam po kawie, bieg przez korytarze, znaczące zagryzanie wargi i ostatecznie przyciśnięcie czerwonego guzika po drugiej stronie. Pozostało około trzech, może pięciu minut. A potem nie będzie już nic...

Major podciągnął się na niewielkim występie okiennym, chciał w jak największym stopniu chłonąć ten ostatni widok: samotną brzozę, przetrzebioną przez wichry z zachodu; wynędzniałe trawniki, o które nikt, nigdy nie dbał; drewnianą szopę, która tylko sobie znanym sposobem opierała się sile grawitacji. Zastanawiał się przez chwilę, czy napiszą w książkach, że to on, Siergiej Iwanowicz Walentynow był sprawcą nuklearnej pożogi. Z wszech miar byłoby to niesprawiedliwe, bo przecież jedynie nadusił jeden mały guziczek, który dodatkowo miał obowiązek przycisnąć. No przecież był to rozkaz... Niemniej jednak gdzieś w środku czuł, że powinien był postąpić inaczej. Zresztą... w jakich książkach... za dwie minuty nie pozostanie nic, co pamiętałoby sposób na wyprodukowanie atramentu, nie wspominając o prasie drukarskiej. Dziwnym trafem, myśl ta okazała się pokrzepiająca.

Ziemią targnął huk, a pomarańczowa luna rozbłysła gdzieś za granicą horyzontu. Przez chwilę wydawało się, że to koniec, że już po wszystkim... Wtedy też ponad pobliskim lasem wyłoniła się olbrzymia postać...

— Wołk...

Ognista bestia węsząc i grzmiąc, podążała w jego kierunku. Każdy jej krok zmieniał otoczenie w spękany nieużytek, każdy jej oddech rozpalał powietrze. Przystanęła na chwilę, przysunęła nos ku ziemi. Wtedy też zdradziecka brzoza, wskazała zasuszonym konarem na parę oczu zerkających z okienka. Bestia zagrzmiała:

— To me było królestwo, potęga i chwała na wieki... — szepczące usta Siergieja, nadały brzmienie tym słowom.

Wilk prychnął. Skóra, włosy, mięśnie, kości, które jeszcze przed chwilą stanowiły o sylwetce Siergieja, teraz były jedynie chmurą popiołu, wolno opadającego na ziemię.

— Aaa! — Siergiej poderwał się na równe nogi. Nie zważając na swój strój, czy też właściwie na jego brak, pobiegł w stronę balkonowego okna. Z bijącym sercem odsłonił zasłony. Sypialnię wypełnił senny blask poranka. Siergiej opadł na podłogę i zanurzył twarz w drżących dłoniach.

— Kochanie... — szept pojawił się gdzieś blisko, a niewielka dłoń delikatnie dotknęła włosów. Siergiej podniósł oczy, ale nie był w stanie, wydusić słowa. — To był tylko sen. Wszystko jest w porządku.

Siergiej wstał i kuląc ramiona, wtulił się w miękkie, kobiece ciało. Dobruszka przesadnie mocno przytuliła go do siebie.

— To tylko sen kochanie... To tylko sen...

Na dalekim trawiastym stepie, pomiędzy niewielkimi wzgórzami, stał drewniany dom. Gdyby znajdował się w jakimkolwiek innym miejscu, nie zwróciłby niczyjej uwagi. Ot chata jak każda inna. Tutaj jednak, w miejscu, gdzie rodził się wiatr, gdzie żadna stopa nie odciskała swojego piętna, był wydarzeniem. Formość i ostrość kształtów zaburzała harmonię otaczającej go przyrody. Był obcy, mimo iż stał tu od lat.

Dodatkowo dzisiejszego dnia zaparkowała przed nim czarna Wołga, a przez niedomknięte drzwi wydostawała się na świat melodia ludzkiego języka. Chodź słowo melodia, w tym konkretnym przypadku, było sporym nadużyciem. Dom przepełniała złość, w swojej pierwotnej, brutalnej wersji.

Służbowa Czajka Siergieja podskakiwała na nierównej drodze. On sam zaś tonął w czarnych myślach, które od samego rana nie chciały go opuścić. Ręka sięgnęła w stronę radia i rozkręciła potencjometr. Dźwięki ujeżdżanej bałajki wypełniły auto.

— Tak lepiej... — pocieszył sam siebie Siergiej i spojrzał na mijaną właśnie zagrodę, w której Mikołajowicz wraz z synem, uwijali się przy workach z kartoflami.

Jak to jest, że oni codziennie pakują te kartofle na wóz... Nigdzie, jak okiem sięgnąć nie ma nawet skrawka pola, a worki codziennie pełne. — Zadumał się Siergiej, zatrzymując samochód naprzeciwko pracującej pary.

— Hej! Mikołajowiczu! Co tam robicie?

Starszy z mężczyzn zamarł na chwilę. Opuścił trzymany worek na ziemię i zdejmując czapkę, odchrząknął.

— Nic Siergiej, nic... Kartofle pakujemy...

— A po czorta wam tyle tych kartoflów? — Z wymuszonym uśmiechem krzyknął Siergiej.

— E-e-e... — Mikołajowicz dumiał. A jak dumiał, to się jękał, a jak się jękał, to ni-kuda wymyślić nic nie umiał, więc długo dumiał, za długo.

— Na zimę my chowamy... Na zimę Siergiej! — Uratował sytuację syn.

— Na zimę... — Niedowierzał Siergiej. — Wy się lepiej przyznajcie, że na łykawkę szykujecie zapas. — Teraz uśmiech był szczery.

Panowie za płotem spojrzeli po osobie. W końcu ojciec zareagował.

— Ech, wy miastowe, wy to zawsze wyniuchacie dobrą gorzałkę... Wpadnijcie wy wieczorem, to skosztujecie pierwszej partii.

— Dziękuję Mikołajowiczu. Przyjadę. Na pewno.

Silnik ponownie zaterkotał, a auto z wyraźnym protestem skrzyni biegów, ruszyło dalej w swoją drogę. Siergieja w końcu dopadł lepszy humor. Przypomniawszy sobie pierwsze spotkanie z łykawką, okolicznym specyfikiem na wszelkie dolegliwości. Miejscowi leczyli nią zmęczone dłonie, bóle głowy, krzywe stopy, a nawet wieczorną niechęć płci przeciwnej. Mocna była wściekle, właściwie dało się jedynie łyka wziąć, zanim palący jęzor odciał oddech. A wraz z nim, całą pamięć i wszelakie smutki. Nie potrafiła jedynie powstrzymać *kolejnego* dnia.

— Dzień dobry panie majorze! — Zasalutował Władimir, podnosząc szlaban na wjeździe do jednostki. Siergiej tylko pokiwał głową i ruszył aleją prowadzącą do budynku sztabu. Uchyliwszy okno, zaciągnął się wiosennym porankiem. Drzewa zaczynały kwitnąć, a przez to okolicę wypełniał słodki zapach, który nie tylko oszałamiał, ale i kusił...

— Olga! — Zatrzymawszy gwałtownie Czajkę, Siergiej krzyknął na idącą brzegiem drogi dziewczynę.

— Witaj majorze. — Dygnęła towarzyszka broni Olga Rymanowicz.

— Wsiadajcie, podwiozę was te parę metrów.

Dziewczyna wojskowym krokiem otoczyła samochód i zaskrzypiawszy drzwiami, usiadła obok.

— Czy nie milej w ten sposób?

— No wiecie, majorze, przewyższacie mnie stopniem, jak mogłabym odmówić? — Siergiej odwrócił się w stronę Olgi. To, co pojawiło się przed jego oczami, niemalże wyłączyło jego ośrodek sterowania. Piękne czerwone usta, zatrzymane w delikatnym uśmiechu i te oczy... można by w nich zamieszkać, zapaść się w ich toń i zapomnieć o całym bożym świecie...

— Uważajcie!

Czajka zanurkowała i zatrzymała się zalewie kilka centymetrów od betonowego słupka.

— Przepraszam... Zamyśliłem się. — Usilnie wpatrując się w czubek kierownicy, odpowiedział Siergiej.

— Nic to... Chodźmy.

Szli długim korytarzem, znaczy... szedł tyłeczek Olgi i wpatrzony w niego Siergiej.

Założę się o wszystko, że nosi różowe majteczki! Takie jak one, zawsze mają różowe majteczki, z taką małą, okalającą je falbaneczką... — To były codzienne rozmyślenia majora, kiedy podążał tym korytarzem. Słowem wyjaśnienia — miał on bardzo udane życie małżeńskie. Kochał Dobruszkę całym sercem, tworzyli bardzo udaną parę. Była ona niezwykle piękną i inteligentną kobietą, dodatkowo była jedyną osobą, którą pamiętał sprzed wypadku. No ale... Czy jest coś złego w tym, że pomimo zamówienia obiadu, mamy ochotę, na takie niezobowiązujące, przejrzenie menu?

— Panie majorze, otwarte... — Z lekkim zdziwieniem stwierdziła Olga.

Siergiej powrócił na planetę ziemia i spostrzegł, że stoi przed drzwiami do swojego biura.

— Przepraszam... — wystękał zmieszany — dzisiaj jestem taki, no... Nieważne. — I pchnął drzwi.

Chata na pustkowiu ucichła. Echa krzyków powoli rozmywały się pomiędzy milczącymi wzgórzami. Wszystko zdawało się wracać na swoje odwieczne tory. Wtedy też, z dachu budynku wysunęła się mała antena.

No nareszcie! Chociaż jedna gałąź w tym prze-płaskim miejscu! — Mała czarna kawka, przelatująca nieopodal, aż zapiszczała z zachwytu.

Po chwili małe szpony niemalże z namaszczeniem opadły na wystający z anteny nadajnik. Dumnie wypięła pierś i ptasim zwyczajem oblizwała dziób. Dosłownie trzy sekundy później, dziesięć innych kawek, nie-wiadomo-skąd, tłoczyło się, na wystającym z dachu urządzeniu.

— No ki czort!?! Czemu ta cholerna maszyna nie działa! — zabrzmiała wkurzona chata, ale pierzasty gang, był już zajęty własnymi zmartwieniami (dotyczącymi głównie niesprawiedliwości w podziale anteny, miały nawet zorganizować głosowanie, ale okazało się, że żadnej z nich, nie chce się lecieć po kulki) i puścił uwagę mimo uszu.

Biuro Siergieja można scharakteryzować dwoma słowami — betonowa pustka. Pośrodku zaś stał drewniany stół, który gościł trzy elementy: ekran radaru, rozświetlany, co kilka sekund zielonym okręgiem, telefon i czerwony przycisk, zamknięty przeźroczystą klapką. Tak, praca Siergieja wydawała się prosta — gdy zadzwoni telefon, ma nacisnąć przycisk — koniec, kropka. Była to jednak złudna prostota, cały zaś szkopał tkwił w konsekwencji: zielony radar miał za zadanie pokazać nadlatujące rakiety z wrogiego terytorium, konsekwencją pojawiających się punktów, był telefon od głównie dowodzącego państwem, konsekwencją jego telefonu, było odpalenie naszych, jedynie słusznych rakiet w przeciwnym kierunku, konsekwencją wystrzelenia, był koniec naszej *matuszki* ziemi. Rakiety miały ładunek przekraczający trzy tysiące mega ton — przy nich te, które spadły na przemysłowe miasta Japonii, podczas drugiej wojny światowej, wydawały się igraszką łobuziaka... Cały ten proces był całkowicie skomputeryzowany, zmechanizowany i niezawodny — telefon, guzik, *do swidania!* Jednym "miękkim" elementem był operator guzika. Wojskowe umysły państwa nie mogły się pogodzić z tym, że decyzję mogłaby podjąć maszyna i dlatego w ciągu mechaniczno-cyfrowym umieścili białko — obecne tutaj w postaci majora

Siergieja Walentynowa, ostatnie ludzkie ogniwo pomiędzy zielonymi łąkami a radioaktywną pustką.

Oczywiście, do tej pory nic podobnego się nie wydarzyło, a nasze ogniwo mogło spokojnie oddawać się, nie mniej ważnym zagadnieniom, które obecnie dotyczyły...

— Olgaaa! Niewielki miś zamieszkujący południowe obszary Chin, na pięć liter, zaczyna się na "p"?

— Panda? — Zabrzmiało za drzwiami.

— Nieee... Jaka tam pan..., hmm, a wiesz, że pasuje? Dzięki!

Gdy długopis zawisł na kratką, która za chwilę miała się wypełnić literą "d", zabrzmiął telefon.

Zaprzątnięty krzyżówką umysł Siergieja, przez chwilę nie zarejestrował tego zdarzenia. Ręka mechanicznie sięgnęła po słuchawkę, ale jak tylko opuszki palców dotknęły zimnego plastiku, groza przebiła się do świadomości. Długopis poleciał w powietrze, a krzesło przewróciło się, pozwalając ciału na podróż ku podłodze. Dotarłszy tam, wystrzeliło w górę, jak kot, który wygrzewając się na gorącym podjeździe, został podstępnie złapany w siatkę i pomimo zaciekłych miauknięć, wrzucili go do wanny pełnej zimnej wody.

Drrrryyyyyń!

Kurwa, co robić, co robić?

Drrrryyyyyń!

Ten cholerny przedmiot chyba nie zamierza dać za wygraną.

Drrrryyyyyń!

— Zamknij się! Rozkazuję ci zamilknąć!

Drrrryyyyyń!

— Siergiej! Telefon dzwoni! — W drzwiach stanęła Olga.

— Słyszę!

— To może odbierz?

— Nie... skąd... To pewnie pomyłka...

— Majorze Siergiej! Proszę wziąć się w garść i odebrać ten pieprzony telefon!

Siergiej podniósł wzrok na swoją sekretarkę i sięgnął po czerwoną słuchawkę. Zanim jednak ją dotknął, telefon przestał dzwonić.

— Uff... — Wypuścił powietrze z widoczną ulgą. — Widzisz, mówiłem, że pomyłka.

Oboje jednak zostali na swoich miejscach, niezdolni do najmniejszego ruchu, wsłuchiwali się w absolut-

ną ciszę. Nie trwała ona jednak długo, po chwili powróciła pieśń czerwonego telefonu. Siergiej wziął głęboki wdech i podniósł słuchawkę.

— Major Siergiej Walentynow. Słucham?

— Nieee, nic się nie dzieje... — mówiąc to, odruchowo poprawił sobie kołnierzyk marynarki, który nagle zaczął niezwykle uwierać.

— Dzwonił pan? Może byłem czymś zajęty...

— Tak jest! — stuknęły obcasy, a Siergiej stanął na baczność.

— Rakiety...

— Tak, oczywiście... Kod A1.

— Mam powtórzyć? Aha... Tak! Oczywiście! Tak jest!

— A jak zdrowie szanownej małżon... — po drugiej stronie trzasnęła odkładana słuchawka.

Siergiej trzymał swoją oburącz i intensywnie się jej przyglądał.

— No i co! — wydarła się Olga.

— No nie była to pomyłka — spokojnym głosem odparł Siergiej.

Gruby jegomość wyszedł przed chatę i zapalił papierosa. Pierwsze sztachnięcie było niezwykle łapczywe i pomarańczowy żar połknął niemalże połowę papierosa. U jego stóp leżały trzy martwe kawki, które nie zareagowały dość szybko na słowa: "Ot, jebanyj drób!".

Resztką papierosa zatoczyła dymiący łuk i poleciała w gęstą trawę. Jegomość jeszcze przez chwilę patrzył przed siebie, po czym odwrócił się na pięcie i wrócił do wnętrza chaty. Po chwili, wśród trzasków i szumów, wydobywających się z niewielkiego głośnika, dało się usłyszeć zniekształcone zdanie.

— Vasylij, zaczęło się! Prijeżdżaj!

— No i co!? Co ci kurwa powiedział? — Olga była na granicy wybuchu.

Siergieja ogarnął dziwny spokój, który dokładnie oplótł większość myśli i odsunął je od tej jednej, najważniejszej. To był moment, na który najbardziej w swoim życiu NIE czekał. Kod A1 — czyli pełna odpowiedź.

Może to pomyłka?

Podszedł do biurka i zaczął wpatrywać się w zielone piknięcia.

— Siergiej! Co się dzieje? Co ty wyprawiasz?

— Zawrzyj paszczu — wycedził przez zaciśnięte zęby Siergiej. Teraz ważne było tylko to przeklęte urządzenie! Zielony okrąg przelatywał płynnie przez wszystkie znaczniki i miękko znikał za brzegiem metalowej obudowy.

Pik!

Pik!

Pik!

I nic więcej. Żadnego znaku, żadnej kropki, żadnego ruchu.

— Oni się pomylili... — wyszeptał cicho Siergiej.

— Siergiej?

— Tu nic nie ma...

— Siergiej!

— Oni się pomylili Olga! Tu-nic-nie-ma!

— Siergiej... — Teraz miała spokojny głos. — To nie ma żadnego znaczenia.

— Jak to nie ma znaczenia?

— Nie ty podejmujesz decyzję. Ty masz tylko wpisać klucz i nacisnąć przycisk. Rozumiesz?

— Ale to ja wysadzę świat w powietrze! Wiesz, jaka będzie odpowiedź? Wiesz? Morze rakiet w naszą stronę!

— Majorze Siergiej proszę wyciągnąć kartę z kluczem, wpisać kod i nacisnąć przycisk inicjujący! — Jej głos pozostał zrównoważony, ale nabrał dodatkowego dźwięku. W tle grzmiał rozkaz.

— Ale to niemożliwe... — wyszeptał Siergiej, tępo wpatrując się w pik-ający ekran. Nagle zielony ekran zniknął, a jego miejsce zajął płonący wilk, tylko tym razem nie zionął gorącem. Tym razem opadł na tylne łapy i... czekał. No tak, ty... Tylko tym razem mam wybór, co?

— Proszę wyciągnąć kartę ko... — urwała, bo nagle Siergiej się zerwał i zaczął przetrząsać szuflady biurka. — Co ty wyprawiasz?

— No nigdy nie ma, jak potrzeba! — Wywracał zawartość jednej szuflady za drugą. — Kuuuurwa!!!

— Siergiej...

— Nie masz może nożyczek?

— Nożyczek?

— Tak kurwa, nożyczek!

— Nie mam, ale...

— A chuj z tym! — Mówiąc to, wyciągnął z metalowego futerału, który zawsze nosił na piersi, plastikową kartę i wpakował ją sobie do ust.

— Siergiej, co ty wyprawiasz!?

— Zezłę tę piepsono! kalte! Nosz kulwa, ale tfalda...

— Przestań! Nie możesz!

— F dupie mam... Ale szto ti lobisz?

Olga wyjęła pistolet, odbezpieczyła go i celując dokładnie w lewe oko Siergieja, powoli podchodziła do niego.

— Oddaj mi kartę. — Wyciągnawszy wolną dłoń, stanęła o krok od majora.

Siergiej przestał żuć kartę i wyjął ją z ust. Uśmiechnął się pojednawczo i wyciągnął dłoń z kodem w stronę Olgi.

— Opuść broń. Proszę. Zrób z nią, co chcesz!

Gdy tylko drgnęła dłoń, dzierżąca pistolet, lewa pięść Siergieja błyskawicznie wymierzyła nokautujący cios. Prawą dłonią złapał jej opadającą głowę i delikatnie położył na betonowej ziemi.

— Przepraszam Olga, ale nikt tego nie dostanie.

Schował kartę do kieszeni i zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

Co zrobić? Co zrobić? Kurwa, za chwilę przylecą inni... Nie może wszystkich łać. W końcu ktoś go powali... Guzik! No tak!

Delikatnie odsunął wieczko i z całej siły kopnął w bok urządzenia, roztrzaskując je na małe kawałeczki.

— No! — Uśmiechnął się. Wtedy też spojrzał na reszkę mechanizmu, który pozostał przytwierdzony do biurka.

— Dwa kabelki... Kurwa! Wystarczy je zewrzeć i... A to psubraty!

Opadł zrezygnowany na ziemię. Co on może zrobić? Jest tylko małym trybiczkiem w gigantycznej maszynie. Jeśli za kilka minut kontrola nie zgłosi wystrzelenia rakiet, będzie tutaj cały pluton. A wtedy rozstrzelają go na miejscu, pójdą do silosów i...

— Silosy! No pewnie!

Zerwał się na równe nogi i wybiegł ze swojego biura. Kilka sekund później wrócił i delikatnie podniósł

spódnice nieprzytomnej Olgi.

— Ha! Wiedziałem!

Tym razem wybiegł z biura na dobre.

— Dobruszka Walentynow, słucham?

— Tak...

— Tak...

— Rozumiem...

— Tak jest!

Odłożyła słuchawkę i spokojnym krokiem ruszyła do przedpokoju. Wyciągnęła z szafy szare palto, a z niewielkiej szafki parę wysokich, skórzanych butów. Ubrana stanęła przed drzwiami wejściowymi. Odwróciła się w stronę lustra, z którego zwykle korzystała, chcąc ocenić swój ubiór, czy też poprawić fryzurę. W prawym górnym rogu wciśnięte pod ozdobną ramę wisiało zdjęcie uśmiechniętego Siergieja. Szybkim ruchem zerwała je i wcisnęła do kieszeni płaszcza. Omiotła jeszcze ostatnim spojrzeniem ciche mieszkanie. Westchnęła i ruszyła w zalany wiosennym słońcem świat.

Siergiej na ostatnich metrach, przed wejściem do silosów zwolnił. Wziął dwa głębokie wdechy, aby uspokoić rozhuśtane serce. Musi wyglądać jak co dzień, jak zawsze! Nie może dać po sobie poznać, że...

Wyszedł zza rogu i podszedł do stróżówki.

— Sierzancie! — Ryknął, swoim najbardziej urzędowym głosem.

Niewielki budynek wypełnił się tajemniczym szuraniem. Po chwili w oknie ukazały się potargane włosy, a pod nimi zdziwiona twarz strażnika. Uchyliły się drzwi i wypadł z nich wartownik.

— Siergiej? — Drapiąc się po głowie, wystękał Pietja.

— Major Siergiej!

— A! To tak dzisiaj? Oczywiście majorze Siergiej! — wartownik nieudolnie zasalutował.

— Ja wy wyglądacie!

— No jak to jak? Jak co dzień.

— Kurtka rozchełstana, włosy w nieładzie... A gdzie wasza broń?

— Eee... Mogę przynieść... Stoi tam, ale nie brałem, bo to przecież pan major tylko... A ciężkie cholerstwo okrutnie... Mam przynieść?

— Mhm! — To było znaczące "mhm". To było oficerskie "mhm". To było dziesięć dni paki "mhm". — Powinienem was z miejsca zamknąć. Jesteście obrazą dla całej naszej czerwonej armii, sierzancie Pietja!

— Ja? Dla całej? — Pierwszy raz w życiu Pierja poczuł, że stał się na jakimś polu wybitny. Nie był tylko pewien, czy był to powód do dumy.

— Tak! Dla całej, dla całej! Macie szczęście, że mi się śpieszy! Otwierajcie szybko wrota i żebym was

więcej nie oglądał w takim stanie!

— Tak jest! Już otwie... — Proces myślowy Pietji był może powolny, ale jak już się rozpędził, to ciężko go było zatrzymać. Do tego język, był wyjątkowo nieposłuszny. — A przepustka?

— Co??!! — Ponownie ryknął Siergiej.

— No przepustka. Major przecież wie, że nie mogę wpuszczać nikogo do silosu bez tego świstka...

— Ano tak, oczywiście. — No i cały misterny plan jebnął sobie radośnie o bruk. — A jak wygląda taka przepustka?

— No nie wiem... Nigdy nikt nie chciał tam wchodzić...

— Aha... Dobra, dajcie jakiś papier. Formalności rzecz święta!

Pietja zniknął w budce, a major nerwowo zerkał na zegarek. Po chwili wrócił, dzierżąc w ręce kawałek kolorowego papieru.

— Co to jest? Czy to jest etykieta z butelki?

— No... No nie mam nic innego — wystękał speszony wartownik — ja raczej z tych, co dużo myślą, niż wiele czytają...

— Ech... — teatralnie pokręcił głową Siergiej. — Dawaj to!

Chwilę później wartownik Pietja wpatrywał się w etykietę Stolicznyjej, gdzie ktoś, na odwrocie nakreślił nerwowym pismem:

Major Siergiej Waletynow może wejść.

Podpisano

Major Siergiej Waletynow

Siergiej biegł już korytarzem do wnętrza tajnego silosu atomowego, intensywnie rozmyślając, co też on właściwie ma tam zrobić. Jakoś nie podejrzewał, aby ktoś wstawił tam dzwignie — "wyłącz mnie" lub "awaryjna likwidacja silosu". Cóż, chyba trzeba będzie skorzystać ze starej, wielokrotnie sprawdzonej wojskowej metody — "improvizuj i nie daj się zastrzelić".

— Mikołajowicz! — Krzyknęła Dobruszka, stojąc na środku podwórza. Po chwili uchyliły się drzwi sto-
doły i wyszedł z nich gospodarz.

— Dobruszka — skinął głową na przywitanie.

— Przynieście pakunek.

Mikołajowicz na chwilę zamarł, ale wykonał polecenie i minutę później wrócił, niosąc czarne pudło.

— Dasz radę? — zapytał, podsuwając pakunek.

— Nie wiem... Naprawdę nie wiem... — wyszeptała Dobruszka, a na błotnistą ziemię spadła pojedyncza, słona kropla.

Siergiej był wściekły. Stał przed ostatnią barierą, oddzielającą go od atomowego silosu — metalowymi drzwiami. Były one oczywiście zamknięte, a z prawej strony znajdował się elektroniczny zamek. Czyli dokładnie tyle, ile potrzeba było, aby ubić wszystkie plany majora.

Siergiej wpatrywał się w rzędy klawiszy i małe wyświetlacze, który zachęcająco mrugał.

Migał...

Mrugał...

Kreseczką...

No czekał...

Pamiętasz?

Przypomnij sobie...

Siergiej fachowym ruchem przywalił w zamek otwartą dłońią. Obudowa odskoczyła i ukazała lutowaną

płytkę i pęk kabli. Dłonie wpadły w miedziane połączenia... pracowały jak w transie, jakby odgrywały, wielokrotnie trenowaną czynność. Wystarczyło kilka ruchów i urządzenie wydało z siebie znaczące piknięcie — drzwi otwarte.

— Jakim cudem ja wiedziałem, jak to dziadostwo rozbroić... — Do umysłu wkroczyła na powrót rzeczywistość. — Przecież ja się gubię na pilocie do telewizora...

Zostawił jednak tę zagadkę na później, teraz były ważniejsze rzeczy do zrobienia. Poprawił służbową marynarkę i pchnął metalowe drzwi.

Znalazł się w wielkiej hali, która powoli budziła się do życia, odpalając kolejne zestawy jarzeniówek. Po chwili wszystkie tajemnice tego pomieszczenia zostały obnażone w jaskrawym świetle wiszących lamp.

— Pusto... — wyszeptał z przerażeniem major — a gdzie jest wszystko?

Patrzyli na siebie. Czuli, że dzisiejszy dzień coś przyniesie — nie mieli pojęcia co, ale nigdy nie byli tak długo na zewnątrz, poza ośrodkiem. Choć wydawało się to niemożliwe, właśnie poznawali nowy rodzaj strachu.

Ciemność skrywała ich sylwetki i tylko dlatego odważył się wyciągnąć dłoń. Dotknął ramienia brata. On odwzajemnił się skinieniem głowy.

— Nosz ki-czort znowu... — Głos z przeciwległego krańca pokoju natychmiast wycofał braterski gest. Powrócił miarowy oddech i wyprostowana postawa. — Ubije ja ten drób! Ubijeee!

Siergiej szedł miarowym krokiem prosto do biura generała. Tego generała — mistycznej postaci, której odmowa widniała pod każdym wnioskiem urlopowym, jaki złożył. Pod każdą prośbą o cokolwiek... Dzisiaj zamierzał zlekceważyć wszelkie procedury (ostatnio i tak marnie mu wychodziło przestrzeganie protokołu) i chciał na własne uszy usłyszeć jakieś odpowiedzi. A potem niech się dzieje wola nieba...

Pozostała tylko jedna drobna przeszkoda, choć należy przyznać, że słowo drobna, było w tej sytuacji sporym niedomówieniem. Mimo wszystko miał dobre przeczucie, weźmie ją "na litość", a w tym był niedoścignionym mistrzem!

— Nie może pan wejść! — Odparła Zofia, stu trzydziestko kilowa osobista ochrona gabinetu generała. Z tego, co słyszał Siergiej, jako młoda dziewczyna trenowała ona podnoszenie ciężarów. Podobno świetnie sobie radziła i doszła do takiej wprawy, że w którymś momencie skończył się gryf, na który można było dokładać kolejne odważniki. Skończyła się również wiara komitetu olimpijskiego, w zachowanie reguły fair-play, jeśli chodzi o pannę Zofię.

Jak znalazła się w jego jednostce, nie miał pojęcia, ale podobno robi świetną, świeżo mieloną kawę i nie musi w tym celu, korzystać z młynka.

— Pani Zofio! Rozkazuję pani mnie tam wpuścić!

— Ja nie jestem żołnierzem, drogi Siergieju. Zresztą pan doskonale o tym wie. — Nawet zbytnio nie zainteresowała się petentem. Dalej wypisywała coś na jakąś listę, która już obecnie zawierała sporą ilość atramentowych kwiatków i milusińskich owieczek.

— Ja muszę tam wejść!

— Nie pan pierwszy i nie ostatni. Przejdzie panu.

— Ale pani nie rozumie, tu się dzieje coś dziwnego!

— Taaak? A co?

— Nie mogę powiedzieć!

— Nie może pan, czy pan nie chce?

— A robi to jakąś różnicę?

— Właściwie niewielką, odpowiedź jest i tak, taka sama. — Kolejna puchata owieczka dołączyła do stada.

Widząc kierunek, w którym podążała jego sprawa, Siergiej postanowił wprowadzić w życie stare porze-

kadło — "Jak nie siłą, to młotkiem!". Ominął więc biurko i rzucił się w wąskie przejście, które tworzyły ściana pokoju i rant mebla. Niestety, pół kroku poza dozwolonym obszarem, poczuł przytoczony wcześniej młotek. Choć tak naprawdę była to lewa pierś Zofii, która to w nieprawdopodobnie szybki sposób, zmaterializowała się pomiędzy nim a drzwiami gabinetu.

— Naprawdę? — Zapytała spokojnym głosem.

— Proszę wybaczyć, jakoś mnie tak, chyba coś zamroczyło... — Usilnie trąc czoło, wystękał Siergiej. — Chyba sobie pójde...

— A mówią, że żołnierz nic mądrego powiedzieć nie umie. Do widzenia, drogi Siergieju — odparła Zofia i powróciła do dekorowania kartki.

Major wyszedł z jej gabinetu i po chwili życie Zofii stało się na powrót równie istotne, co los żuczka, leżącego do góry brzuszkiem. Dokładnie takie, jakie lubiła.

Spokój jednak nie trwał długo, dokładnie w momencie, gdy powstawał atramentowy domek, mogący być schronieniem dla obfitego stadka puchatych cztero-kopytnych, do pokoju, w akompaniamencie tłuczonego szkła, wleciał niewielki pakunek.

Zofia odwinęła zawiniątko i zamarła.

— Mhm. Ewidentnie major ma tendencje samobójcze. Chyba należy mu pomóc, bo odnoszę wrażenie, że jest problem z decyzyjnością — to zdanie zostało wymamrotane pod nosem, świat zaś usłyszał inną wersję. — Już idę kochanieńki!

Zofia wstała, strzepnęła niewidzialny kurz z garsonki i skierowała swe kroki ku wyjściu. W biurze pozostała samotna, kolorowa owieczka. Ukochany pluszak, który podróżował na honorowym miejscu w samochodzie Zofii, a którego jakiś brutal obscenicznie naznaczył. Był też liścik, który zawierał tylko jedno zdanie:

"Miałem ją wielokrotnie!".

Siergiej zaczajony pod oknem wiedział, że musi działać szybko — gniew tej kobiety, potrafiłby zatrzymać rozpędanego tira, a takie nic, jak jego osobiste ciało, to będzie przegryzka. Ignorując resztki szkła, wskoczył przez wybite okno, przeskoczył nad obecnie samotnym biurkiem i z impetem wpadł do wymarzonego gabinetu.

— Generale! — Ryknął od progu.

Siergiej oniemiał. Pokój był zupełnie pusty. Ściany prezentowały obdrapaną farbę, podłoga nie była sprzątana od dawna. Major wszedł do środka, jakby niedowierzając, swoim własnym oczom, jakby musiał stanąć w miejscu, w którym powinno stać biurko, aby poczuć, że jego tam nie ma.

— O co tutaj chodzi... — wyszeptał.

— Co tu się kurwa dzieje! — Tym razem wydarł się, ile miał sił w płucach. — Co to w ogóle jest! Gdzie ja do cholery jestem!?

— Siergiej! — Znajomy głos przywoła go do porządku. Odwrócił się. W drzwiach stała Dobruszka, jego-Dobruszka.

— Dobruszka... Ale co ty tu robisz?

— Już dobrze Siergiej, już dobrze. Wszystko jest w porządku.

— Nic nie jest w porządku! Rozumiesz? Dostałem telefon, a silos był pusty, a teraz jeszcze to...

— Siergiej, spokojnie... Chodź do mnie... Wszystko jest w porządku. — Powoli podchodziła do niego.

— Dobruszka... Powiedz mi, o co tu chodzi.

— Wszystko już dobrze. Wszystko ci wytłumaczę. — Stanęła przed nim i spojrzała mu głęboko w oczy.

— Dobruszka... Dlaczego płaczesz?

Rozległ się pojedynczy wystrzał. Oni jeszcze przez chwilę stali nieruchomo wpatrzeni w siebie. A potem

major osunął się na podłogę, a jego usta wypełniła krew.

— Dlaczego Dobruszka? Powiedz mi, chociaż dlaczego...

— W naszym świecie, należy wykonywać rozkazy. Myślałam, że to wiesz... Tak bardzo chciałam wierzyć w to, że to wiesz... — Przytuliła głowę swojego męża do piersi. Teraz nie musiała hamować łez.

Vasylij Żukow nie cierpiał prowadzić. Jeśli już musiał udać się gdzieś dalej, zawsze zabierał ze sobą szofera. To całe skupianie się na drodze, ta nieprzejeżdżana monotonia podskoków i szarpnięć, to stanowczo nie było dla niego. No, ale jeśli Sadin mówi, że ma być sam, to nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby sprzeciwić się jego woli. Niby pracowali w zupełnie oddzielnych departamentach, niby posiadał wyższy stopień, ale to był Sadin. Z nim nawet sam diabeł, przyszedłby na negocjacje, nerwowo się uśmiechając.

Jakby tego wszystkiego było mało, musiał się jeszcze wieźć na jakiś zabite dechami zadupie. Nie mógł chociaż wybrać jakiegoś hotelu, w centrum miasta...

Vasylij zaparkował przed chatą, ale nie wyłączył silnika. Znał to miejsce, był tu kilkakrotnie i za każdym razem dziękował bogu, że może już odjechać. Wdech-wydech.

Otworzył drewniane drzwi i zrobił krok w mroczną izbę. Jedynym źródłem oświetlenia było palenisko, umiejscowione na przeciwległej ścianie. Na środku zaś stały dwa fotele, a w jednym z nich, ewidentnie ktoś siedział. Vasylij zatrzymał się w progu.

— Chodź Vasylij, nie krępuj się. Siadaj. — Zabrzmiał głos, niemalże był przyjazny.

— Sadin? — mrużąc oczy, wymamrotał Vasylij.

— A kogo żeś się spodziewał?

Vasylij powolnym krokiem podszedł w stronę źródła głosu. Przed skorzystaniem z zaproszenia, ściągnął swój długi płaszcz i złożony go na pół, przełożył go przez oparcie fotela. Teraz oczy, przyzwyczajone do panujących ciemności potrafiły wyłowić więcej szczegółów. Jedna ze ścian miała wkomponowane w nią monitory, przed którymi stało krzesło. Na drugiej wisiała myśliwska strzelba, ale oceniając wielkość oplatających ją pajęczyn, bardziej stanowiła wystrój wnętrza, niż użyteczną broń. To mu jednak o czymś przypomniało i odruchowo przesunął dłoń za plecy, gdzie ukrył małokalibrowego Willsona. Metal pod opuszkami palców dodał otuchy i pewności siebie. Vasylij usiadł w fotelu.

— Witaj drużko! — Wyszczerzył zęby w uśmiechu Sadin.

— Zdrastwujcie!

— Dobrą mieliście podróż?

— Chujową jak zwykle...

— Hahaha... — Śmiech tak szybko, jak się pojawił, tak samo szybko ucichł.

— Dobra, Sadin, jak poszło? Owieczka "dolly" dała radę?

— A jak myślisz?

— Jeśli by mi zależało na zgadywankach, to bym się nie tłukł taki kawał drogi na ten twój wygwizdów. Mów jak poszło.

— Ujechał...

— To znaczy, co?

— No nie nacisnął. Dodatkowo trochę narozrabiał.

— No żesz kurwa mać! — Vasylij poderwał się na równe nogi. — Co jest z tymi ludźmi!

— Spokojnie Vasylij... — Sadin uspokajająco podniósł dłoń.

— Spokojnie! Spokojnie? Ale co my teraz zrobimy? Tyle czasu, tyle dzieńków psu w dupę!

Sadin wyciągnął papierosa i pudełko zapalek. Po chwili gęsty dym wypełnił powietrze między nim a Vasylijem.

— Daj jednego. Miałem nie palić, ale...

— Proszę. — Przysunął paczkę Sadin. — Ty się tak nie denerwuj.

— Kurwa... A ty dalej palisz te smołowce. — Zauważył Vasilij.

— Służą mi...

— Taa... — Vasilij zaciągnął się łąpczywie, mocno, za mocno. Zakaszał i splunął na podłogę. — To, co teraz robim?

— Spokojnie... wszystko jest po kontrolą.

— A co to znaczy?

— Temat ogarnięty, nie będzie już wracał.

— Czyli?

— Tak. — Sadin skinął znacząco głową. Nie było potrzeby znać szczegółów.

— Dobra... Ech... Tylko skąd wziąć kogoś na jego miejsce... — Vasilij opadł na fotel. — Kurwa, kiedyś wszystko było prostsze. Pamiętasz pierwszego Siergieja. Kurwa, ten to napierdalał w ten przycisk, zanim jeszcze zdążyłem odłożyć słuchawkę... Ech...

— Kiedyś człowiek był inaczej formowany. Dobre metody wujka Stalina, zostawiały trwałe ślady. Człowiek wtedy nie myślał, czy dobrze robi, czy źle. Kazali, to napierdalał. Kazali, to i rodzoną matkę do kotła by wrzucił. A teraz... — Sadin zamyślił się. — To pieprzona ludzka natura jest problemem. Ta jej cholerna przewrotność, jej wola. Tak, wola... No i myślenie...

— Może i masz rację. Ale to niewiele rozwiązuje...

— A widzisz! I tu się mylisz drogi Vasyliju. — Sadin uśmiechnął się szelmowsko i mocniej wpasował się w fotel.

Vasilij zamarł. Tajemnice, elementy, które skrywał Sadin, zazwyczaj były groźne. No i pominął go w czymś. Z jakiegoś powodu, nawet jeśli miał on im teraz uratować dupę, przestali być zespołem, a decyzja została podjęta bez konsultacji.

— Co masz na myśli? — bardziej wycedził, niż powiedział Vasilij.

— Idealne rozwiązanie.

— Czyli?

Sadin wyprostował się w fotelu, odwrócił głowę w stronę ciemnego kąta i ryknął:

— Siergiej!

Momentalnie przy jego fotelu pojawiło się dwóch mężczyzn. Ubrani byli jedynie w dresowe spodnie i wojskowe buty. Ich nagie torsy unosiły się rytmicznie.

Vasilij, aż cofnął się w fotelu i w ostatniej chwili powstrzymał się przed krzyknieniem.

— Spokojnie Vasilij. To moje kundelki. — Zaśmiał się Sadin. — Siad!

Mężczyźni jednocześnie przykucnęli przy nogach Sadina i unieśli głowy w jego stronę, oczekując pochwały. Dopiero teraz Vasilij dostrzegł, że obaj są identyczni. Te same oczy, te same włosy, ta sama budowa ciała. Tylko... Ich plecy i torsy przecinały długie linie blizn, to była jedyna rzecz, która ich odróżniała od siebie.

— Co to? — wystękał w końcu.

— To mój własny projekt.

— Ale to też są klony... Przecież w Rozkiewce zrobili tylko jednego...

— I dał on dupy, nie?

Vasilij przytaknął odruchowo.

— Trzeba przyznać, że trochę marudzili, ale jakoś udało mi się nakłonić te jajogłowe pały, aby dosypały coś jeszcze do kociołka. — Sadin sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej kartkę. — Masz. Czytaj.

Na kartce zapisany był przebieg z procesu tworzenia genów. Standardowy naukowy bełkot, który nie raz czytał Vasilij, dodatkowo ostatnie zdanie wskazywało na to, że wyprodukowane osobniki nie przeszły pomyślnie fazy stabilizacji.

— No i co? Nic mi to nie mówi...

— Spójrz, kto wykonywał ten eksperyment.

Na dole strony widniał podpis doktora Rabova.

— Rabov? Przecież to on kierował projektem, który właśnie dzisiaj spierdolił całe zadanie.

— Ale to nie Rabov trenował moich chłopców. Zresztą... wiesz przecież, jakie mam zdanie o jagłowych... Może i oni coś tam potrafią, ale nie ma to, jak odpowiednio dawkowana metalowa linka. — Mówiąc to, władczy gestem opuścił dłoń na głowę jednego z Siergiejów. — Moje zuchy są wytrenowane stałą i strachem. A ta mieszanka działa bardzo stymulująco i jak wynika z naszej historii, nader skutecznie.

— No nie wiem...

— Czego, kurwa, nie wiesz? — Wzburzył się Sadin.

— Bo jeśli oni też...

— Nic, kurwa, też! Są wierni jak kochanka po ruchaniu! Poszliby w ogień na jedno skinienie. I jeśli zadzwonię, to nie będzie chyba, może... Nie! Będą na przemian napierdalać w ten guziczek, aż im łapy spuchną! — Sadin, aż musiał nabrać powietrza w płuca.

— Dobra, dobra... Skoro tak mówisz...

— Tak mówię!

Vasylij zamyślił się. Zupełnie mu się to nie podobało. To jemu podlegała część badawcza, do niego należał Rabov i cały instytut badania genu. A teraz okazuje się, że za jego plecami wychodzowali to coś... martwiło go jednak coś jeszcze. Właśnie przestał być potrzebny...

— A papa? — Zapytał w końcu Vasylij.

— A co z nim?

— No chyba trzeba mu o tym wspomnieć, nie uważasz?

Sadin spochmurniał.

— Wiesz... jak by nie patrzeć, to jednak on wydaje ten rozkaz.

— Nie musi o niczym wiedzieć. — Głos Sadina jednoznacznie wskazywał, że to nie jest kwestia otwarta.

— No ale jak?

— Podmieni się obecnego Siergieja i tyle. Za kilka miesięcy zrobimy ponowny test, a następnie przeniesie się go do środowiska docelowego. Co w tym trudnego?

— Za plecami papy?

— Tak, kurwa, za plecami papy. Musi o wszystkim wiedzieć?

— Ale to ja odpowiadam za ten program, to moja szyja znajduje się na linii... A jeśli te cudaki coś odpierdolą?

— Nic nie odpierdolą. Mój Siergiej jest sto razy lepszy niż to, co wyprodukował cały ten Rabov!

I słucha się tylko ciebie — dokończył w myślach Vasylij.

— Muszę to przemyśleć Sadin...

— A co tu jest do przemyślenia?

— Kurwa, zrozum, ja nawet nie wiem, co to jest... To człowiek, czy pies? Chyba cię pojebało, jeśli myślisz, że wstawię jakieś dzikie zwierzę, za biurko z TYM przyciskiem. Zupełnie ci odjechało Sadin!

— Vasylij usłyszał ostanie zdanie, w momencie, gdy je wypowiedział. Żałował, że ono padło, bo nie tak powinien był, rozmawiać z tym człowiekiem. Poniosło go, tak, poniosło. Vasylij przesunął drżącą dłoń za plecy i pozwolił, aby palec wskazujący oparł się na spuście.

— Taaak? No to będziesz miał okazję zobaczyć, co to jest! — Sadin powoli wstał z fotela. — Siergiej! Bierz!

Obaj mężczyźni jednocześnie skoczyli w kierunku Vasylija. Po chwili stali się płataniną ludzkich ciał. Walka jednak nie trwała długo — lata treningu kontra biurokrata mogła przynieść tylko jeden wynik. I to nie była wygrana cywilizacji.

— Dobre pieski... dobre... — Zaśmiał się Sadin. — No to chyba wszystko ustalone. Aha, jeszcze jeden

drobiażdżek. — Sadin wyciągnął pistolet i wypalił w sam środek czoła jednego z Siergiejów. — Potrzebuję tylko jednego...

— Neeeeee!!! — Zawył drugi z Siergiejów i rzuciła się za upadającym bratem. Jego nieruchome ciało upadało kilka centymetrów od ciała Wasylija.

— No już przestań. Nie warto, chodź tutaj, mam coś dla ciebie. — Sadin schylił się pod fotel i wyciągnął złożony w kostkę mundur. — Masz, od teraz jesteś majorem Siergiej. Czy to nie brzmi dumnie?

— Sadin zaśmiał się ochryple. — Kto by przypuszczał, że taki pies, jak ty, będzie majorem, co?

Wtedy też padły trzy strzały. Ciało Sadina zostało rzucone na fotel siłą kinetyczną kul. Przez dziurawe płuca próbował nabrać powietrza. Łapał je łapczywie, coraz mocniej i mocniej... Z cienia wyłoniła się sylwetka Siergieja. Szedł powoli, a w rękę trzymał dymiącego Willsona. Pozwolił mu wyslizgnąć się z dłoni.

— Siergiej... — charczał Sadin. — Coś ty, kurwa, najlepszego zrobił.... Rozkazuję ci... Siergiej...

— Dla ciebie major Siergiej. — Stalowy ton głosu nie pozostawiał przestrzeni na dyskusję. Siergiej wskoczył na pierś Sadina i powolnym ruchem oparł palce na jego oczach. Następnie nacisnął, aż poczuł ciche puknięcie. Chata wypełniła się rykiem oszalałego z bólu zwierzęcia. — Mam nadzieję, że trochę jeszcze pożyjesz... Że zasmakujesz odrobiny strachu w tej ciemności... Bo ja może za chwilę wrócę, a może nie...

Siergiej zsunął się z Sadina. Teraz wrócił tam, gdzie leżał jego brat. Ukucnął i położył sobie jego głowę na kolanach. Powolnymi ruchami zaczął gładzić jego włosy, a puste oczy wypełniły się łzami.

— Braciszku... Przepraszam... — Dwadzieścia pięć lat łamania woli nie wystarczyło, aby zniszczyć więź, która ich połączyła. Siergiej nie wiedział, czy była to "ludzka natura", jak nazwał ją Sadin, czy też zupełnie coś innego. Wiedział tylko, że właśnie w tym momencie wszystko stało się nieistotne. Nie bał się ciemności, nie bał się bicia, wytrzymywał to z łatwością, tak długo, jak wiedział, że stoi przy nim jego brat. A teraz to koniec. Siergiej został ostatecznie złamany i nie miał prawa stąpać po ziemi.

Pozostała tylko jeszcze jedna rzecz do zrobienia — musiał zapobiec. Sięgnął po leżącą na ziemi kartę i skierował wzrok na ostatnią linijkę.

— Rabov... — wyszeptał. — Zdaje się, że mamy umówione spotkanie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

purpur, dodano 28.01.2018 22:07

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.